

# Słowinia Tynecka-Makowska

---

## O fobii nadmiaru : uwagi na marginesie trzech lektur

---

Prace Polonistyczne Studies in Polish Literature 55, 157-172

---

2000

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

*Słowinia Tynecka-Makowska*

O FOBII NADMIARU — UWAGI NA MARGINESIE TRZECH LEKTUR

1. Czytelników zatrudnię

W swą groteskowo-prześmiewczą i bujną transatlantycką opowieść-parodię Witold Gombrowicz wplótł pewien z pozoru błahy, bo zaledwie kilkoma zdaniem nakreślony, obraz Biblioteki – kosmicznych rozmiarów pomieszczenia-śmietniska, które zasiedlają wynajęci przez jego właściciela Gonzala Czytelnicy. Oni to, pozostawieni własnemu losowi wśród ogromu książek, skazani na syzyfowe działanie, podejmują za wynagrodzeniem trud bezowocnej, przymusowej lektury:

Jakoż w pokoju [...] dużym, kwadratowym, książek, skryptów kupy na podłodze, wszystko wywalone, jak z taczek; aż po sufit góry; tam zaś wśród tych gór, dopióż przepaści, zręby, jary, usypiska, rozdoły, a tyż kurz, pył aż w nosie wierci. Na górach tych tedy chudzi bardzo Czytelnicy siedzieli, którzy to czytali; a może ich siedem albo osiem było. – Biblioteka [mówi Gonzalo] biblioteka, oj, co za kłopot z tym mam, skaranie boże, a bo najcenniejsze, najbardziej szacowne to dzieła geniuszów samych, najprzedniejszych Ludzkości duchów, ale

---

Słowinia Tynecka-Makowska (ur. 1963) – ukończyła filologię polską na Uniwersytecie Łódzkim. Jest adiunktem w Katedrze Teorii Literatury, Teatru i Filmu UŁ. Interesuje się zwłaszcza teorią przekładu, epistemologią, filozofią języka, filozofią nauki oraz konwencją snu w literaturze.

cóż, panie, kiedy Gryzą się, Gryzą, a też i Tanieją od nadmiaru swego, a bo za dużo, za dużo, i co dzień nowych przybywa, i nikt wyczytać nie może, bo za dużo, ach, za dużo! Owóż ja, panie, Czytelników zgodziłem i im słono płacę, bo już mnie wstyd, że tak wszystko Nieczytane leży, ale za dużo, wyczytać nie mogą, choć bez przerwy dzień cały czytają. Najgorzej jednak, że się książki wszystkie gryzą, gryzą i chyba jak psy się zagryzą!<sup>1</sup>

Z Gombrowiczowego obrazu wprawdzie nie wynika, by biblioteczne dobra namnażały się rozrastając w niemożliwy do pomieszczenia zbiór (stanowią śmietnisko literatury niewygodne ze względu na gigantyczne rozmiary, nie zaś z powodu nieopanowanego przyrastania), lecz i bez tego rysu pojemności nieskończonej wyobrazenie autora *Trans-Atlantyku* nabiera cech przerażająco monstrualnej groźby marnotrawienia (się) literackich wytworów. Zresztą obawa przed przyrastaniem w nieskończoność, przed niepokroczonym powiększaniem się księgozbioru także jest w cytowanym fragmencie sugerowana, skoro w majątku Gonzala „co dzień nowych [książek] przybywa”.

Kolekcja Gonzalesa jest potworna i pod innym względem, nie tylko dlatego, że wielkość księgozbioru daleko przekracza możliwości percepcyjne śmiertelników. W nadmiarze słów i rzeczy-książek marnieje myśl ludzka, choćby najgenialniejsza i bezcenna, a wysiłek zapanowania nad tym mechanizmem wydaje się daremny. Notabene również czytelnictwo przedstawia Gombrowicz karykaturalnie, jako trud jałowy, samocelowy, poniekąd dla niczego. Jego Czytelnicy, gromadka małowiczna chudziaków, czytają dla zarobku; ani dla wiedzy, ani dla przyjemności. Dla czytania. Sytuacja, w jakiej się znaleźli, jest tyleż absurdalna, co wynaturzona. Lektura w stworzonych przez Gonzala warunkach przypomina zaburzony proces trawienny – zjadacze książek, jak anorektycy, żywią się pod przymusem. Sami z siebie jeść nie chcą i nie potrzebują. Nawet jeśli tylko się łudzą w chorobie, że nic im nie dolega, przecież są chorzy; śmiertelnie chorzy.

---

<sup>1</sup> W. Gombrowicz, *Trans-Atlantyk*, [w:] idem, *Dzieła*. Red. J. Błoński. T. 3. Kraków 1988, s. 83.

Zastosowany przez autora zabieg hiperbolizacji służy wyekspozowaniu problemu. Dzięki wyraźnie przesadzonym proporcjom – księgozbiór nieprzeliczony, a czytelników zaledwie siedmiu, ośmiu – sytuacja staje się wyraźniejsza, ostrzej zarysowana, a przy tym bardziej nagła i... bezgranicznie absurdalna. Wszak nie jest celem lektury konsumpcja tekstu, tj. sczytywanie literowych znaków, tymczasem wyraźnie do niej miałyby się sprowadzać wysiłek kilku nieboraków trudniących się „wyczytywaniem” – wedle słów Gombrowicza – ksiąg w bibliotecznym kosmosie. A efekt tych zmagañ jakże jest mizerny. Symulacja zdolności pseudoczytelniczej Gonzalowych tytanów lektury wyrażona liczbą przeczytanych przez nich w życiu stron (książek) uzmysławia, że gdyby absurdalnie założyć – co praktycznie osiągnąć nie sposób ze względu na psychofizyczną wydolność człowieka, a przecież właściciel niezwyklej biblioteki twierdzi, że jego najemnicy „bez przerwy dzień cały czytają” – gdyby więc przyjąć niemożliwe, że każdy z nich jako np. trzydziestolatek w chwili zatrudnienia, czytałby przez sześć godzin codziennie na godzinę sześćdziesiąt stron przez lat trzydzieści, w wieku lat sześćdziesięciu mógłby się poszczycić wynikiem niewiele ponad pięć milionów przeczytanych stron. Zakładając, że średnia objętość książki wynosi dwieście stron, zatrudniony przez Gonzalesa sześćdziesięciolatek zmęczyłby (!) przed odejściem na emeryturę, pracując świątek piątek przez trzy dekady, około dziewięćdziesięciu książek w ciągu roku. Lecz z pewnością nie byłby to sukces ocalenia księgozbioru, bo czy te bez wytchnienia sczytywane stronicie (w liczbie daleko mniejszej niż objętość biblioteki) mogłyby być jego miarą albo stopień wycieńczenia „dyżurnych” czytelników, ślęczących nad książkami (jedynie dla ich „wyczytania”) całe życie?

Kwestia zgłoszona przez Gombrowicza, mimo iż dotyczy teorii odbioru, orientuje się na nią od strony, której nie uwzględniają, czy raczej nie podejmują badacze dyskutujący problematykę odbiorcy (czytelnika) modelowego, wirtualnego, rozważający ogólne warunki porozumienia komunikujących się stron. Autorowi *Trans-Atlantyku* chodzi już nie o zgodność ról pomyślane-go, potencjalnego odbiorcy z zachowaniami odbiorcy empirycz-

nego, o zgodność warunkującą poprawną konkretyzację czy rozumienie dzieła, lecz o podstawowe, wręcz trywialne założenie teorii komunikacji: bez odbiorcy komunikacja nie zachodzi, choćby aparat nadawczy działał nad wyraz efektywnie. Problematyczne w ujęciu Gombrowicza jest nie tyle prawidłowe zestrojenie się czytelnika z tekstem poprzez rozpoznanie reguł narzuconych przez nadawcę, ile samo znalezienie partnera, jeśli miałyby dojść do komunikacyjnego zjednoczenia się nadawcy z odbiorcą. Jaki bowiem sens ma pisarstwo, gdy nadawcy „partneruje” jedynie modelowy odbiorca, bo empiryczny nie istnieje. I czy w tej sytuacji wolno mówić o partnerstwie, o komunikacji? Zachwianie równowagi między elementami strategicznymi aktu komunikacji (jakie opisał Jakobson) powoduje zakłócenia, które prowadzą do jednostronnego zdynamizowania układu. Metafora biblioteki–śmietniska obrazuje moment krytyczny całości. Układ zdominowany przez nadawcę i komunikat zostaje wytracony z bezpiecznego bezruchu – bezruchu warunkującego jego istnienie/funkcjonowanie – i załamuje się. Swoisty bezruch jest bowiem efektem zachowania proporcji między składowymi. Równowaga elementów gwarantuje stabilność układu. Gdy niektóre z nich nadmiernie przerastają, gdy na rynku literatury podaż nie równoważy popytu – całość staje się niefunkcjonalna.

Świat, w którym literacki metabolizm ulega zachwianiu, jest chory. Procesy konsumpcyjne przebiegają niewspółmiernie wolno w stosunku do procesów wytwarzania. Biblioteka u Gombrowicza to również metafora literatury-kompostu, składowiska „organicznych” szczątków, które jednak użyźnieniu nie służą ani rozwojowi. Nie dochodzi do intertekstualnego związania literackiej całości. W powieściowych warunkach kompostowe porównanie w odniesieniu do książkowego zbioru przyjąć trzeba z tym właśnie zastrzeżeniem – ponieważ wygasa organiczna więź między elementami, zanika inspirujący efekt wzajemnego oddziaływania. Podczas gdy kompostowanie daje możliwość użyźnienia, wzmocnienia życia powstającego na szczątkach, powieściowego obrazu ta możliwość nie dotyczy. Monstrualny stos książek przechowywanych w posiadłości Gonzalesa jest szczątkiem bezpowrotnie ginącym literatury, bezużytecznym, rozcząstkowanym. Au-

todestrukcja to nieunikniony skutek wynaturzeń kreacyjnych, nad którymi człowiek utracił kontrolę. Biblioteczne monstrum stanowi namiastkę katastrofy świata literatury – martwej bo pozbawionej publiczności. Jednak groteskowe – tragiczne a śmieszne – przedstawienie perspektywy literatury unicestwionej przez własne twory powoduje oswojenie lęku: śmieszność łatwiej zbagatelizować, przerysowanie zignorować. Zatem paradoksalnie, cios uświadomienia zostaje zadany tępym w istocie narzędziem parodii, opamiętanie nie nadchodzi. Któż by się przejął hiperbolicznie wyolbrzymioną, symulowaną prognozą niemożliwego końca, przewidywaniem tak niedorzecznym. Owszem, twórcza płodność zostaje przez autora skompromitowana. W nadmiarze dóbr nawet dzieła wartościowe nie znajdują uzasadnienia. Atomy książek tworzą przypadkowy stos rzeczy, lecz nie tworzą literatury. Jednak narzucające się pod wpływem Gombrowiczowego obrazu pytanie: czyż nie jest szaleństwem tworzenie w warunkach czytelniczego impasu nowych dzieł? – pozostało bez odpowiedzi. *Trans-Atlantyk* nie kończy przecież historii literatury. Jeśli człowiek współczesny, twórca, decyduje się przejrzeć w bibliotecznym zwierciadle komunikacyjnej zapaści obnażonej przez Gombrowicza, czyni to z dystansem – czy nie nadmiernym? – jakby odwiedzał gabinet śmiechu i stojąc naprzeciw sferycznego lustra widział w nim nie siebie, lecz obcą postać śmieszna, nieprawdziwą i niestraszną, z którą się nie utożsamia.

## 2. „Cały świat nie pomieściłby książek...”

*Trans-Atlantyk* wprawdzie nie zakończył historii literatury i nie wywołał kryzysu zaprzestania, ale też nie zdezaktualizował się problem niestrawności literatury powodowanej nadmiarem produktów sztuki słowa. Podobnym refleksjom co Gonzales, oddaje się bohater *Rzeczy pierwszych*<sup>2</sup> z roku 1986 – „traktatu moralnego”, jak nazwała książkę Grażyna Szymczyk w rękopisowym omówieniu tej „powieści, która przeszła bez echa”. I jego dręczy lęk przed nadmiarem, intensyfikowany fobią przed wyjawianiem lite-

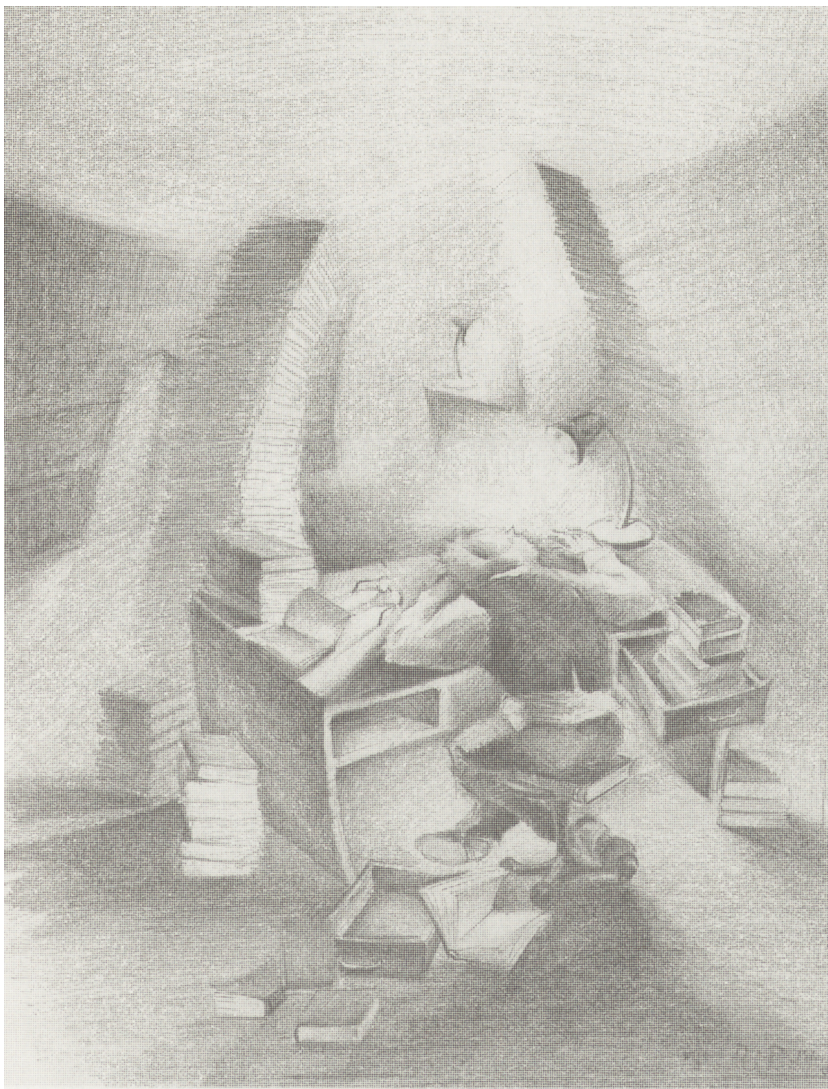
<sup>2</sup> Jan Masz, *Rzeczy pierwsze. Posłowie do powieści z przeżyciami*. Łódź 1986.

rackim siebie. Zapiski, jakie prowadzi wiele lat, zdradzają człowieka nieprzeciętnego nie tylko osobowością i inteligencją, ale i talentem pisarskim. Cóż jednak z tego, skoro powodowany wewnętrznym przekonaniem powieściowy Jan świadomie nie upublicznia swego daru twórcy przenikliwego choć młodego, nadzwyczaj prawego, mistrza słowa, moralisty. Zresztą, nawet gdyby nie żywił swych przekonań i obaw, nie mógłby się spełnić, ponieważ poza wewnętrznymi, ulega zewnętrznym ograniczeniom. W świecie, w którym żyje, społeczeństwo wynosi na piedestał miernoty. O rozgłosie decyduje zwykle przezorność i kumoterstwo, przeciętność, rzadziej talent i wiedza. Chociaż działalność krytycznoliteracka Jana nosi znamiona ujawnione w pamiętniku (uroda słowa, trafność sądów), pozostaje nie doceniona, tym bardziej że bohater przedstawia światu niewiele, publikuje sporadycznie, z zawodowego przymusu. Intymne świadectwo zdolności autora spoczywa w szufladzie – pamiętnikowych zapisków Masz, bohater powieści, nie opublikował, a inne jego wypowiedzi, historyczno- czy krytycznoliterackie, są kontestowane lub po prostu nie doceniane, bynajmniej nie z racji ich słabości. Miarą bohatera staje się ostracyzm humanistycznego środowiska, niechęć znakomitości dyskretnie przez bohatera sugerowane w notatkach.

Jednym z przejawów zagrożenia nadmiarem jest w *Postłowi do powieści z przeżyciami* chorobliwa obawa bohatera przed inwazją książek i zadrukowanego papieru.

Lubiłem książki i kupowałem je dotychczas, lecz teraz uprzytomniłem sobie, że w pewnej chwili nie będę ich miał gdzie podziąć. Jeszcze po wyjściu ze szpitala każde nowe pomieszczenie, w jakim się znalazłem, oglądałem nieufnie, sprawdzając, gdzie i ile tomów mógłbym tam ulokować. Dla siebie rezerwowałem mały, jak najszczuplejszy kąt.

Unikałem czynności, które mogłyby przysporzyć światu papierków. Byłem zachłanny na wrażenia i wiadomości, a nie śmiałem czynić notatek. Przeciążałem pamięć. [...] skarżyłem się, że przy moich skłonnościach do czytania i notowania, i przy moim zawodzie (historyk ojczystej literatury) obsesja taka podcina mi najistotniejsze dążenia, godzi w najczulsze miejsca. [16–17]



rys. R. Pacholczyk





Jan przewiduje, że z czasem jego życiowa przestrzeń ograniczy się, a wreszcie całkiem się skurczy i zamknie, gdy zabraknie powierzchni na regały i pudła mogące pomieścić istniejące i przyszłe (po)twory słowa. Perspektywa niewyobrażalna? Urojenia neurotyka? Masz żyje samoograniczeniami. Powściągliwość w uzewnętrznianiu siebie poprzez twórczość literacką i metaliteracką powodowana już to wstydem, już to wizją unicestwienia świata w literackim natłoku, skromność wynika z lęku przed angażowaniem innych we własne przemyślenia (i dzieła) oraz z fałszywie określonych miar wartości godnych oznajmienia skutecznie poskramiają bohatera, a publiczność pozbawiają jego dokonań. W książce Masza dokonania te pozostają niejako w niespełnieniu, potencjalne, możliwe. Powieść — paradoksalnie — nie powstaje, jedynie pamiętnikarska konwencja umożliwia rozpoznanie sygnalizowanego przez autora problemu — czytelnik śledzi myśl bohatera, poznaje jego motywacje, powody milczenia, w namiastce osobistej refleksji bohatera-narratora doświadczają wartości słów nie wysławianych publicznie, nie pomnożonych w setki, tysiące wydrukowanych egzemplarzy. Masz „nie przysparza światu papierków”, a przynajmniej nie przysparza ich tyle, ile byłby przysparzał, gdyby wiele publikował. Jego *Postowie* jest w istocie po-słowem (w znaczeniu: nie-słowem). Słowem nie jest. Jest intymną myślą, rodzajem wewnętrznego monologu, uwewnętrznionym wyznaniem przedstawianym samemu sobie, potencją.

„Obsesja taka [nadmiaru] podcina mi najistotniejsze dążenia” — wyjawia Masz. Rzeczywiście, dla niego i jemu podobnych jest niedogodnością. Dla literaturoznawcy, dla krytyka literackiego, którzy żyją z wypowiedzania się, z pisania o literaturze, stanowi katastrofę. W warunkach akademickich oznacza ponadto samobójczą śmierć przez wykluczenie. (Po)tworzenie artykułów i książek jest formą naukowego awansu, gdy tymczasem fob nadmiaru pozostaje w impasie. Wprawdzie milczy nie z braku woli czy z niezdolności opiniotwórczej, nie z nieróbstwa, lecz z bezwoli pomnażania, jednak milczy, a powody milczenia publicznie nie są znane. Oficjalnie fob nadmiaru niewiele ma do powiedzenia lub zgoła nic.

Zestrojeni w fatalistycznym dwugłosie narratorzy obu wspomnianych utworów dzielą wspólną acz odmiennie wysławianą – z różnych perspektyw – obawę, że literacka twórczość wiedzie literaturę nieodwołalnie ku apokalipsie. Człowiekowi zagraża jego własny wytwór. Nie dlatego, że twórca powołuje do istnienia rzeczywistość, która go przerasta mocą przeistaczania się z fikcyjnej w autentyczną i prawdziwszą bardziej niż prawdziwa, jak na przykład w Jonathana Carrolla *Krainie chichów*, lecz z dużo bardziej prozaicznych powodów – dlatego że artysta tworzy znacznie więcej niż ziemski glob może pomieścić, a czytelnik przeczytać, ogarnąć, przyjąć. Ewangeliczne: „cały świat nie pomieściłby ksiąg, które by trzeba napisać” (J 21,25), nabiera w tym kontekście nowego – fatalistycznego – znaczenia.

### 3. „Literatura jest piękna i bez...”

Bliski duchowi przywołanych powieści wydaje się tekst liryczny piosenki Grzegorza Turnaua *Uno momento mortis*, „inspirowany pewnym wierszem Michała Z.”, przejmujący, nastrojowy w wokalnoinstrumentalnym wykonaniu.

nim napiszesz wiersz  
 pomyśl i zważ  
 jak dalece słuszny to krok  
 i czy naprawdę masz czas  
 żeby pisać wiersz  
 [...]  
 może raczej wstań  
 może lepiej leż  
 literatura jest piękna i bez  
 [...]  
 nim wykonasz pieśń pomyśl i sprawdź  
 czy nie piękniej zrobi to szpak  
 i czy w ogóle jest sens  
 wykonywać pieśń  
 [...]  
 może raczej śpij  
 może raczej patrz

Ten liryczny apel o powściągliwość twórczą wyrasta z przekonania, że natura jest doskonała, że poprzez nią i w niej w pełni utrwala się i „wraża” piękno. Niepokój podmiotu wynika z niepewności, czy wyreżanie natury w jej twórczych funkcjach ma sens. Odpowiedź nie zostaje udzielona. Zaledwie jest sugerowana. Pytania zresztą też nie sformułowano wprost. Aluzyjnie, śladowo, delikatnie rozsnuwa „liryczny ktoś” zwątpienie, sugeruje, dyskretnie napomina. Jednak nie rozstrzyga, nie decyduje. Że pyta niepewnie, świadczą powtórzone „może raczej” (wstań, leż, śpij, patrz) – anaforyczne enumeracje możliwych „w zamian”, „zamiast” tworzenia. Działanie polegające na „czynieniu”/„wykonywaniu pieśni” to czynność niepewna. Powątpiewanie w sens twórczych wysiłków wynika z konfrontacji z naturą, ale nie wyłącznie z nią. Strofa pierwsza zarysowuje sytuację liryczną bardzo ogólnie, szeroko. Zanim w strofie drugiej sztuka zostanie skonfrontowana z naturą, pytanie o sens pisania (tworzenia) artykułowane jest za pomocą domyślnego „w ogóle”:

nim napiszesz wiersz  
pomyśl i zważ  
jak dalece słuszny to krok

Właśnie (zwłaszcza) te inicjalne wersy są śladem syntonii podmiotu w odczuwaniu nadmiaru, zagrożenia hipertrofią twórczą. Kolejne słowa oznajmniają wahanie. Jest ono subiektywnie własnym wahaniem podmiotu wiersza, ale poprzez przemieszczenie go za sprawą formy gramatycznej zostaje przeszczepione drugiej osobie (lirycznemu „ty”) i w ten sposób uogólnione, uwspólnione, zunifikowane, ale też złagodzone i osłabione. Natrętne, kilkakrotnie powtórzone „nim” jest jak powstrzymujące przed czynem „przestań”. Artykułowane jest z nadzieją odroczenia na czas nieokreślony twórczego działania. Refleksja „może lepiej” stwarza szansę powstrzymania się przed. Jednak sens ostateczny wiersza nie ogranicza się do zalecenia powstrzymania. W słowach „może lepiej”, jak w całej konstrukcji myślowej tekstu, objawia się wahanie przed jednoznaczną odpowiedzią. Podobnie jak w *Trans-Atlantyku*, pytanie o sens tworzenia, gdy kultura zagraża nadmiar literackich płodów (Gombrowicz) czy jej

dyskredytacja przez porównanie z naturą (Turnau), daje – przewrotnie – możliwość negatywnej odpowiedzi.

#### 4. Grzech przyzwolenia

Omawiane trzy fragmenty literackie nie powstały wprawdzie w przemijającej właśnie, kończącej wiek dwudziesty dekadzie, z pozoru nie są więc reprezentatywne dla problematyki „zbiegów stuleci”. Jednak sygnalizowane w nich zagrożenie nadmiaru wydaje się, że ostatnio narasta i – na okoliczność *fin de siècle*'u – prowokuje refleksję milenijną, rozrachunkową u progu już nie tylko nowego wieku, lecz trzeciego tysiąclecia. Problem bynajmniej nie jest pozorny czy wręcz pozorowany, ponieważ istotnie nadprodukcja literacka, często mizernych lotów, i związane z nią zjawiska wywoływane nadmiarem (przybierającym w kulturze rozmaite formy), znamionują współczesność. Komunikowanie się za pośrednictwem słowa drukowanego w okresie ostatnich dziesięciu, piętnastu lat przechodzi wyraźną eksplozję. Wzrost liczby publikowanych czasopism i książek jest wprost niebywały. „Newsletters in Print” podaje wykaz ponad dziesięciu tysięcy czasopism ukazujących się regularnie; łączna liczba wszystkich publikowanych wydawnictw – małych i dużych, lokalnych, ogólnokrajowych i międzynarodowych – jest przez ekspertów szacowana na ponad sto tysięcy. Liczba książek jest dosłownie i w przenośni nieprzeliczona. W anonsujących nową książkę Ryszarda Kapuścińskiego zapiskach pod tytułem *Lapidarium*<sup>3</sup> autor zauważa:

- Co jest trudnością dla człowieka, który chce dziś poznać z lektur świat, zdobyć o nim wiedzę, zrozumieć go?
- Nadmiar. Morze książek, czasopism, taśm, stron Internetu, a wszystko pełne wszelkich teorii, nazw, danych. Nadmiar.

Ten „komentarz do współczesności” Kapuścińskiego i biblioteczne résumé Gombrowicza są zasadniczo analogiczne, chociaż

---

<sup>3</sup> „Gazeta Wyborcza. Magazyn” 2000 nr 28 (13.07.). Zapowiadana przez „Gazetę” książka Kapuścińskiego ukaże się pod tytułem *Notatki z Afryki* nakładem wydawnictwa „Czytelnik”.

odmienne w tonie. Co autor *Trans-Atlantyku* określa przesmiewczo w groteskowym wyobrażeniu upadłej biblioteki, autor *Notatek z Afryki* konstatuje serio i dosłownie. Sama w sobie nowa propozycja wydawnicza Kapuścińskiego jest skądinąd przejawem także charakterystycznej współcześnie tendencji do skrótów, ścieśnienia. Liczne notatki, zapiski, lapidaria, mikropowieści, urywki, operowanie fragmentem, szkice, epizody, anegdota zastępujące rozległe wielowątkowe fabuły to również znamię współczesnej sztuki słowa. Tendencja ta jest z jednej strony przejawem samozwańczych aspiracji autorów do twórczości (co akurat Kapuścińskiemu trudno zarzucić), z drugiej zaś, prawdopodobnie, swoistą próbą samoograniczania się pisarzy, powściągnięcia wielotomowej, wielostronicowej rozlewności dziś raczej odstręczającej amatorów literatury.

Niektórzy piszą za dużo, za często. Niektórzy nie piszą, choć powinni. Jedni ulegają złudzeniu, że literackie (twórcze) kompetencje nie zależą od talentu, daru, specjalnych zdolności, lecz mają kwantytatywne podłoże lub wynikają z opanowania rzemiosła; ci fałszywie sądzą, że każdy twórcą jest, choć w różnym stopniu, zatem „każdy pisać może...”. Inni, jak bohater *Rzeczy pierwszych*, poskramiani przez własne urojenia i obawy, uzbrojeni w fałszywe miary i niedościgłe wzorce milczą przekonani, że byłoby nadużyciem „zaprzętać innych tym, co w bólu sam[i] postrzeg[ą]”, (po)tworzyć dzieła nie dość wybitne. Trudno przesądzać, którzy są bardziej groźni. Ich postawy są jednak zgubne. Powściągliwi milczkowie nie dają się poznać, ale ustępując pola rozmownym płodnym, czy nie popełniają grzechu przyzwolenia?

Być może ratunkiem przed kataklizmem olbrzymiejącego zbioru nie czytanych książek stanie się w trzecim tysiącleciu obszar wirtualno-internetowego działania.<sup>4</sup> W tym wymiarze, jak w nieskończenie rozciągliwej bani, przynajmniej się bez przeszkód nieszkodliwie rozmnoży i pomieści literackie dobro. Bo cokolwiek by rzec o przyszłości literatury (i metaliteratury), o sensie jej (ich) pomnażania — literatura jest martwa, gdy nie czytana, nie komentowana, a przede wszystkim — stanowi, jak się wydaje, *sine qua non* kultury.

<sup>4</sup> Zob. J. Artymiak, A. Siłuszek, *Książka na zawołanie*. „PC Kurier. Informacje, analizy, opinie” 1999 nr 12.

Elektroniczna przestrzeń stwarza znakomite warunki dla selekcji na literackim rynku, a jednocześnie daje możliwość publikowania niskonakładowych, specjalistycznych wydawnictw, co z kolei mogłoby poprawić sytuację na przykład naukowców, których niekiedy wąskospecjalistyczne dzieła mają niewielki krąg odbiorców, a ich wydawanie przy tradycyjnych technologiach druku jest niekomercyjne. System druku na żądanie oraz tak zwane *e-books* – książki w formacie elektronicznym – są zapowiedzią rewolucyjnych zmian nie tylko w zakresie technologii. Gwarantują znaczną oszczędność papieru, eliminację kosztów składowania i dystrybucji, a najważniejsze – zabezpieczają przed niesprzedaniem nakładu, bolączką znaną w Polsce, ale i poza polskimi granicami, wielu wydawcom. Zapewne ucierpią na nich – tymczasem? – bibliofile, bo publikacje drukowane i oprawiane na konkretne zamówienie (w systemie „na żądanie”) nie są – na razie – wyrafinowane ani choćby atrakcyjne graficznie. Nie tylko zresztą bibliofilom kontakt z książką „na zawołanie” nie przyniesie radości, a „domaganie się” w tym systemie atlasów z mapami czy albumów obecnie jest jeszcze niemożliwe. Podobnie lektura *e-booków* utraci czar, jaki daje obcowanie z niekoniecznie pięknie wydaną, ale tradycyjną „żywą” książką – papierową, czytaną w dowolnie wygodnej pozycji i miejscu (na tapczanie, w pociągu, w ogrodzie). Niemniej kazus Stephena Kinga, geniusza literackiego marketingu, jest obiecującą zapowiedzią również finansowych możliwości elektroniczno-cybernetycznego edytorstwa XXI wieku, z którymi powinni się liczyć współcześni Autorzy, autorzy i „autorzy”.

Książd Jan Twardowski stwierdza, że „piszących poezję jest daleko więcej niż czytających”. Tadeusz Różewicz ironizuje na temat „worków z wierszami” do kącików poetyckich w pismach kulturalno-literackich. Stanisław Lem od lat propaguje opinię, której przemysłnie dowiódł w słynnych recenzjach nie istniejących książek: „nikt niczego nie czyta, jeśli czyta, nie rozumie, jeżeli rozumie – natychmiast zapomina”.

Wyobrażenie kosmicznie przepastnej biblioteki z powieści Gombrowicza, neurotyczne obawy Masza, że książki zajmując przestrzeń mogą zagrażać człowiekowi, wahanie twórcy: „może

lepiej...”, „literatura jest piękna i bez...” – dobrze byłoby rozpropagować. Te przestrogi mogłyby mieć terapeutyczny albo prewencyjny wpływ na pisarzy, powstrzymując niejedno pióro (choć – paradoksalnie – nie powstrzymały autorki *uwag na marginesie trzech lektur*).



*Słowinia Tynecka-Makowska*

O FOBII NADMIARU — UWAGI NA MARGINESIE TRZECH LEKTUR  
ON THE PHOBIA OF EXCESS — COMMENTS ON THE MARGIN  
OF THREE READING POSITIONS

Summary

Three metaphoric images-presentations from the novels *Trans-Atlantic* by Witold Gombrowicz and *First Things. An Afterword to the Novel with Experiences* by Jan Masz and the lyrics by Grzegorz Turnau *Uno momento mortis* served the author of the article as a pretext for a concise and, at the same time, one-sided millennium resume of the condition of literature on the threshold of the third millennium.

Gombrowicz included in his transatlantic story-parody a certain, apparently insignificant, image outlined with just a few sentences; an image of a Library – a gigantic room-rubbish dump inhabited by Readers hired by its owner Gonzalo. In *An Afterword to the Novel with Experiences* one of the manifestations of an excess threat is the hero's pathological fear of an invasion of books and printed paper; Ian foresees his life space to get limited with time, and finally shrink and close when he runs out of room for the bookshelves and boxes able to hold the existing and future word creatures. The narrators of the two above mentioned works, as if tuned up in a fatalistic duet, share a common, though differently articulated fear, that a literary output is irrevocably leading literature towards apocalypse: man is threatened by his own creation. Turnau's lyrics, in turn, come out of uncertainty whether it makes sense to help nature out in its creative functions, which gives Tynecka-Makowska a reason to interpret it as a specific appeal for creative moderation.

964



004